

Andrzej

SAPKOWSKI

Ostatnie
życzenie



supernowa

supernowa

Wznowienie opowiadań z pierwszego zbioru Andrzeja Sapkowskiego (Wiedźmin wydawnictwo Reporter) z pominięciem opowiadania Droga, z której się nie wraca. Dodano natomiast dwa nowe połączone je wszystkie quasi-opowiadaniem Głos rozsądku, dzięki czemu zbiór jest właściwym wstępem do "Cyklu wiedźmińskiego".

Świat na ostrzu miecza.

Oszalałająca akcja, mistrzowskie dialogi, sytuacje nie do zapomnienia.

Sapkowski nie umie nudzić!

Wiedźmin nie jest rębajłą pokroju Conana. To mistrz miecza i fachowiec czarostwa strzegący moralnej i biologicznej równowagi w cudownym świecie fantasy. Z woli Sapkowskiego w ów świat pełen potworów i bujnych charakterów, skomplikowanych intryg i eksplodujących napiętości wnoś Geralt nasze problemy, mitologie i nowoczesny punkt widzenia. Staje się więc widzimy i bohaterem oskarżonym i sędzią, kochankiem i błaznem, ofiarą i katem. Przewrotna literacka robota.

-
- [Andrzej Sapkowski](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 1](#)
 - [WIEDŹMIN](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [VII](#)
 - [VIII](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 2](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [ZIARNO PRAWDY](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 3](#)
 - [MNIEJSZE ZŁO](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)

- [GŁOS ROZSĄDKU 4](#)

 - [KWESTIA CENY](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 5](#)
 - [KRANIEC ŚWIATA](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 6](#)
 - [OSTATNIE ŻYCZENIE](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
 - [III](#)
 - [IV](#)
 - [V](#)
 - [VI](#)
 - [VII](#)
 - [VIII](#)
 - [IX](#)
 - [X](#)
 - [XI](#)
 - [XII](#)
 - [XIII](#)
 - [XIV](#)
 - [XV](#)
 - [XVI](#)
 - [XVII](#)
 - [GŁOS ROZSĄDKU 7](#)
 - [I](#)
 - [II](#)
-

GŁOS ROZSĄDKU 1

Przyszła do niego nad ranem.

Weszła bardzo ostrożnie, cicho, stąpając bezszelestnie, płynąc przez komnatę jak widmo, jak zjawą, a jedyny dźwięk, jaki towarzyszył jej ruchom, wydawała opończa, ocierająca się o nagą skórę. A jednak ten właśnie nikły, ledwie słyszalny szelest zbudził wiedźmina, a może tylko wyrwał go z półsnu, w którym kołysał się monotonnie, jak gdyby w bezdennej toni, zawieszony pomiędzy dnem i powierzchnią spokojnego morza, pośród falujących leciutko pasemek morszczyń.

Nie poruszył się, nie drgnął nawet. Dziewczyna przyfrunęła bliżej, zrzuciła opończę, powoli, z wahaniem oparła zgięte kolano o krawędź łoża. Obserwował ją spod opuszczonych rzęs, nadal nie zdradzając, że nie śpi. Dziewczyna ostrożnie wspięła się na posłanie, na niego, obejmując go udami. Wsparta na wyprężonych ramionach musnęła mu twarz włosami, które pachniały rumiankiem. Zdecydowana i jakby zniecierpliwiona pochyliła się, dotknęła koniuszkiem piersi jego powiek, policzka, ust. Uśmiechnął się, ujmując ją za ramiona, bardzo wolnym ruchem, ostrożnie, delikatnie. Wyprostowała się, uciekając jego palcom, promieniująca, podświetlona, zatarta swym blaskiem mglistej jasności świtu. Poruszył się, ale stanowczym naciskiem obu dłoni zabroniła mu zmianę pozycji, lekkimi, ale zdecydowanymi ruchami bioder domagała się odpowiedzi.

Odpowiedział. Nie cofała się już przed jego dłońmi, odrzuciła głowę w tył, potrząsnęła włosami. Jej skóra była chłodna i zadziwiająco gładka. Oczy, które zobaczył, gdy zbliżyła twarz do jego twarzy, były wielkie i ciemne, jak oczy rusałki.

Kołysany utonął w rumiankowym morzu, które wzburzyło się i zaszumiało, zatraciwszy spokój.

Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy od bramy Powroźniczej. Szedł pieszo, objuczonego konia prowadził za uzdę. Było późne popołudnie i kramy powroźników i rymarzy były już zamknięte, a uliczka pusta. Było ciepło, a człowiek ten miał na sobie czarny płaszcz narzucony na ramiona. Zwracał uwagę.

Zatrzymał się przed gospodą "Stary Narakort", postąpił chwilę, posłuchał gwaru głosów. Gospoda jak zwykle o tej porze, była pełna ludzi.

Nieznajomy nie wszedł do "Starego Narakortu". Pociągnął konia dalej, w dół uliczki. Tam była druga karczma, mniejsza, nazywała się - "Pod Lisem". Tu było pusto. Karczma nie miała najlepszej sławy.

Karczmarz uniósł głowę znad beczki kiszonych ogórków i zmierzył gościa wzrokiem. Obciążony płaszczem, stał przed szynkwasmem sztywno, nieruchomo, milczał.

— Co podać?

— Piwa — rzekł nieznajomy. Głos miał nieprzyjemny. Karczmarz wytarł ręce o płócienny fartuch i napełnił gliniany kufel. Kufel był wyszczerbiony.

Nieznajomy nie był stary, ale włosy miał prawie zupełnie białe. Pod płaszczem nosił wytarty skórzany kubrak, sznurowany pod szyją i na ramionach. Kiedy ściągnął swój płaszcz, wszyscy zauważyli, że na pasie za plecami miał miecz. Nie było w tym nic dziwnego, w Wyzimie prawie wszyscy chodzili z bronią, ale nikt nie nosił miecza na plecach niby łuku czy kołczana.

Nieznajomy nie usiadł za stołem, pomiędzy nielicznymi gośćmi, stał dalej przy szynkwasiem, godząc w karczmarza przenikliwymi oczami. Pociągnął z kufła.

— Izby na nocleg szukani.

— Nie ma — burknął karczmarz, patrząc na buty gościa, zakurzone i brudne. - W "Starym Narakorcie" pytajcie.

— Tu bym wolał.

— Nie ma — karczmarz rozpoznał wreszcie akcent nieznajomego. To był Riv.

— Zapłacę — rzekł obcy cicho, jak gdyby niepewnie. Wtedy właśnie zaczęła się ta cała paskudna historia. Ospowaty drągał, który od chwili wejścia obcego nie spuszczał z niego ponurego wzroku, wstał i podszedł do szynkwasiu. Dwójka jego towarzyszy stanęła z tyłu, nie dalej niż dwa kroki.

— Nie ma miejsca, hultaju, rivski włóczęgo — charknął ospowaty, stając tuż obok nieznajomego. - Nie trzeba nam takich jak ty tu, w Wyzimie. To porządne miasto!

Nieznajomy wziął swój kufel i odsunął się. Spojrzał na karczmarza, ale ten unikał jego wzroku. Ani mu było w głowie bronić Riva. W końcu, kto lubił Rivów?

— Każdy Riv to złodziej — ciągnął ospowaty, zionąc piwem, czosnkiem i złością. - Słyszysz, co mówię, pokrzywniku?

— Nie słyszy. Łajno ma w uszach — rzekł jeden z tych z tyłu, a drugi zarechotał.

— Płać i wynoś się! - wrzasnął dziobaty. Nieznajomy dopiero teraz spojrzał na niego.

— Piwo skończę.

— Pomożemy ci — syknął drągał. Wytrącił Rivowi kufel z ręki i jednocześnie chwytając go za ramię, wpił palce w ramię przecinający skosem pierś obcego. Jeden z tych z tyłu wznosił pięść o znak uderzenia. Obcy zwinął się w miejscu, wytrącając ospowatego z równowagi. Miecz zasyczał w pochwie i błysnął krótko w świetle kaganków. Zakotłowało się. Krzyk. Ktoś z pozostałych gości runął ku wyjściu. Z trzaskiem upadło krzesło, głucho mlasnęły o podłogę gliniane naczynia. Karczmarz -

usta mu dygotały — patrzył na okropnie rozrąbaną twarz ospowatego, który wczepiwszy palce brzeg szynkwasu, osuwał się, nikał z oczu, jak gdyby tonął. Tamci dwaj leżeli na podłodze. Jeden nieruchomo, drugi wił się i drgał w rosnącej szybko ciemnej kałuży. W powietrzu wibrował, świdrujący, cienki, histeryczny krzyk kobiety. Karczmarz zatrzęsł się, zaczerpnął tchu i zaczął wymiotować.

Nieznajomy cofnął się pod ścianę. Skurczony, spięty, czujny. Miecz trzymał oburącz, wodząc końcem ostrza w powietrzu. Nikt się nie ruszał. Zgroza, jak zimne błoto, oblepiła twarze, skrępowana członki, zatkała gardła;

Strażnicy wpadli do karczmy z hukiem i szczękiem, we trzech. Musieli być w pobliżu. Okręconymi rzemieniami pałki mieli w pogotowiu, ale na widok trupów natychmiast dobyli mieczy. Riv przyłgnął plecami do ściany, lewą ręką wyciągnął sztylet z cholewy.

— Rzuć to! — wrzasnął jeden ze strażników rozdygotanym głosem. - Rzuć to, zbóju! Pójdziesz z nami!

Drugi strażnik kopnął stół, nie pozwalający mu obejść Riva z boku.

— Leć po ludzi, Treska! — krzyknął do trzeciego, trzymającego się bliżej drzwi.

— Nie trzeba — rzekł nieznajomy, opuszczając miecz. - Sam pójdę.

— Pójdiesz, psie nasienie, ale na powrozie! — rozdarł się ten rozdygotany. - Rzuć miecz, bo łeb rozwalę!

Riv wyprostował się. Szybko chwycił klingę pod lewą pachę, a prawą, uniesioną do góry, stroną strażników, nakreślił w powietrzu skomplikowany, szybki znak. Błysnęły ćwieki, którymi gęsto nabijane były długie aż do łokci mankiety skózanego kaftana.

Strażnicy momentalnie cofnęli się, zasłaniając twarze przedramionami. Któryś z gości zerwał się, inny znowu pomknął ku drzwiom. Kobieta znów zakrzyczała, dziko, przeraźliwie.

— Sam pójdę — powtórzył nieznajomy dźwięcznym, metalicznym głosem. - A wy trzymajcie przodem. Prowadźcie do grodzierzcy. Drogi nie znam.

— Tak, panie — wymamrotał strażnik, opuszczając głowę. Ruszył ku wyjściu, oglądając się niepewnie. Dwaj pozostali wyszli za nim, tyłem, pospiesznie. Nieznajomy poszedł w ślad, chowając miecz do pochwy, a sztylet do cholewy. Gdy wymijali stoły, goście zakrywali twarze połamaniem kubraków.

Velerad, grodzierzca Wyzimy, podrapał się w podbródek, zastanowił się. Nie był ani zabobonny, ani bojaźliwy, ale nie uśmiechało mu się pozostanie z białowłosym sam na sam. Wreszcie zdecydował się.

— Wyjdźcie — rozkazał strażnikom. - A ty siadaj. Nie, nie tu. Tam dalej, jeśli wola.

Nieznajomy usiadł. Nie miał już ani miecza, ani czarnego płaszcza.

— Słucham — rzekł Velerad, bawiąc się ciężkim buzdyganem leżącym na stole. - Jesteś Velerad, grodzierzca Wyzimy. Co mi masz do powiedzenia, mości rozbójniku, zanim pójdziesz do lochu? Trzech zabitych, próba rzucenia uroku, nieźle, całkiem nieźle. Za takie rzeczy u nas Wyzimie wbija się na pal. Ale ze mnie sprawiedliwy człek, wysłucham cię przedtem. Mów.

Riv rozpiął kubrak, wydobyl spod niego zwitek białej koziej skóry.

— Na rozstajach, po karczmach przybijacie — powiedział cicho. - Prawda to, co napisane?

— A — mruknął Velerad, patrząc na wytrawione na skórze runy. - To taka sprawa. Że też od razu się nie domyśliłem. Ano, prawda, najprawdziwsza. Podpisane jest: j Foltest, król, pan Temerii, Pontaru i Mahakamu. Znaczy, prawda. Ale orędzie orędziem, a prawo prawem. Ja tu, w Wyzimie prawa pilnuję i porządku! Ludzi mordować nie pozwolę! Zrozumiałeś?

Riv kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Velerad sapnął gniewnie.

— Znak wiedźmiński masz?

Nieznajomy znów sięgnął w rozcięcie kaftana, wygrzebał okrągły medalion na srebrnym łańcuszku. Na medalionie wyobrażony był łeb wilka z wyszczerzonymi kłami.

— Imię jakieś masz? Może być byle jakie, nie pytam z ciekawości, tylko dla ułatwienia rozmowy.

— Nazywam się Geralt.

— Może być i Geralt. Z Rivii, jak wnoszę z wymowy?

— Z Rivii.

— Tak. Wiesz co, Geralt? Z tym — Velerad klepnął w orędzie otwartą dłońią — z tym daj sobie spokój. To poważna sprawa. Wielu już próbowało. To, bracie, nie to samo, co paru obwiesiów pochlastać.

— Wiem. To mój fach, grodzierzco. Napisane jest: trzy tysiące orenów nagrody.

— Trzy tysiące — Velerad wyduł wargi. - I królowa za żonę, jak ludzie gadają, chociaż tego miłościwy Foltest nie dopisał.

— Nie jestem zainteresowany królową — rzekł spokojnie Geralt. Siedział nieruchomo z rękami na kolanach. -Napisane jest: trzy tysiące.

— Co za czasy — westchnął grodzierzca. - Co za parszywe czasy! Jeszcze dwadzieścia lat temu, kto by pomyślał, nawet po pijanemu, że takie profesje będą? Wiedź-mini! Wędrowni zabójcy bazyliżków! Domokrążni pogromcy smoków i utopców! Geralt? W twoim cechu piwo wolno pić?

— Pewnie.

Velerad klasnął w dłoń.

— Piwa! — zawołał. - A ty, Geralt, siadaj bliżej. Co mi tam. Piwo było zimne i pieniste.

— Parszywe czasy nastaly — monologował Velerad pociągając z kufla. - Namnożyło się wszelkiego plugastwa. W Mahakamie, w górach, aż roi się od bobołaków. Po lasach dawniej aby wilki wyły, a teraz akurat: upiory, borowiki jakieś, gdzie nie spluniesz, wilkołak albo inna zaraza. Po wsiach rusalki i płaczki porywają dzieci, to już idzie w setki. Choroby, o jakich nikt dawniej nie słyszał, w

się jeży. No i jeszcze to do kompletu! — popchnął zwitek skóry po blacie stołu. - Nie dziwota, Geralt że taki popyt na wasze usługi.

— To królewskie orędzie, grododzierzco — Geralt uniósł głowę. - Znacie szczegóły?

Velerad odchylił się na krześle, splótł dłonie na brzuchu.

— Szczegóły, mówisz? A znam. Nie to, żeby z pierwszej ręki, ale z dobrych źródeł.

— O to mi właśnie chodzi.

— Uparłeś się. Jak chcesz. Słuchaj — Velerad popił piwa, ściszył głos. - Nasz miłościwy Folte jeszcze jako królewicz, za rządów starego Medella, swojego ojca, pokazywał nam, co potrafił. Liczyliśmy, że mu to z wiekiem przejdzie. A tymczasem krótko po swojej koronacji zaraz po śmierci starego króla, Foltest przeszedł samego siebie. Aż nam wszystkim szczęściu poopadały. Krótko mówiąc: zrobił dziecko swojej rodzonej siostrze Addzie. Adda była młodsza o pięć lat od niego, zawsze trzymali się razem, ale nikt niczego nie podejrzewał, no, może królowa... Krótko mówiąc, patrzymy, a tu Adda o, z takim brzuchem, a Foltest zaczyna gadać o ślubie. Z siostrą, uważasz, Geralt? Sytuacja zrobiła się napięta jak diabli, bo akurat Vizimir z Novigradu umyślił wydać za Foltesta swoją córkę, Dalękę, wysłał poselstwo, a tu trzeba trzymać króla za ręce i nogi, bo chce biec i lżyć posłów. Udało się, i dobrze, bo obrażony Vizimir wyprułby z nas bebechy. Potem, nie bez pomocy Addy, która wpłynęła na braciszka, udało się wyperswadować szczeniakowi szybki ślub. No, a potem Adda urodziła, w przepisowym czasie, a jakże. A teraz słuchaj, bo zaczyna się. Tego, co się urodziło, wiecie, że nikt nie widział, ale jedna położna wyskoczyła oknem z wieży i zabiła się, a druga dostała przywodziła pomieszania zmysłów i do dzisiaj jest kołowata. Sądzę zatem, że nadbękart nie był specjalnie urodziwy. To była dziewczynka. Zmarła zresztą zaraz, nikt, jak mi się zdaje, nie spieszył się z nadbękartem podwiązywaniem pępownicy. Adda, na swoje szczęście, nie przeżyła porodu. A potem, bracie, Foltest po raz kolejny zrobił z siebie durnia. Nadbękarta trzeba było spalić albo, bo ja wiem, zakopać gdzieś na pustkowiu, a nie chować go w sarkofagu "w podziemiach pałacu.

— Za późno teraz na roztrząsanie — Geralt uniósł głowę. - W każdym razie należało wezwać kogoś z Wiedzących.

— Mówisz o tych wydrwigroszach z gwiazdkami na kapeluszach? A jakże, zleciało się ich pięćdziesięciu, ale już potem, kiedy okazało się, co leży w tym sarkofagu. I co z niego nocami wyłazi. Zaczęło wyłazić nie od razu, o nie. Siedem lat od pogrzebu był spokój. Aż tu któreś nocy, była pełna księżycy, wrzask w pałacu, krzyk, zamieszanie! Co tu dużo gadać, znasz się na tym, orędzie to czytałeś. Niemowlak podrósł w trumnie, i to nieźle, a i zęby wyrosły mu jak się patrzy. Jednym słowem, strzyga. Szkoda, że nie widziałeś trupów. Tak jak ja. Pewnie ominąłbyś Wyzimę szerokim łukiem. Geralt milczał.

— Wtedy — ciągnął Velerad — jak mówiłem, Foltest skrzyknął do nas całą gromadę czarowników. Jazgotali jeden przez drugiego, o mało nie pobili się tymi swoimi drągami, co to noszą, pewnie żeby psy odpędzać, jak ich kto poszczuje. A myślę, że szczują ich regularnie. Przepraszam, Geralt, jeśli masz inne zdanie o czarodziejach, w twoim zawodzie pewnie je masz, a dla mnie to darmozjady i durnie. Wy, wiedźmini, budzicie wśród ludzi większe zaufanie. Jesteście przynajmniej, jakby tu rzec, konkretni.

Geralt uśmiechnął się, nie skomentował.

— No, ale do rzeczy — grododzierzca zajrzał do kufla, dolał piwa sobie i Rivowi. - Niektóre rasy czarowników wydawały się całkiem niegłupie. Jeden proponował spalenie strzygi razem z pałacem i sarkofagiem, inny radził odrąbać jej łeb szpadlem, pozostali byli zwolennikami wbijania osinowych kołków w różne części ciała, oczywiście za dnia, kiedy diabliska spała w trumnie, zmordowana przez nocnych uciechach. Niestety, znalazł się jeden, błazen w spiczastej czapce na łysym czerepie, garba

eremita, który wymyślił, że to są czary, że to się da odczynić i że ze strzygi znowu będzie Foltestov córeczka, śliczna jak malowanie. Trzeba tylko przesiedzieć w krypcie całą noc, i już, po krzyku. I czym, wyobrażasz sobie, Geralt, co to był za półgłówek, poszedł na noc do dworzyszczu. Jak łatwo zgadnąć, wiele z niego nie zostało, bodajże tylko czapka i laga. Ale Foltest uczepił się tego pomysłu jak rzep psiego ogona. Zakazał wszelkich prób zabicia strzygi, a ze wszystkich możliwych zakamarków kraju pościągał do Wyzimy szarlatanów, aby odczarować strzygę na królową. To było dopiero malownicza kompania! Jakieś pokręcone baby, jacyś kulawcy, brudni, bracie, zawszeni, litoś brała. No i dawaj czarować, głównie nad miską i kuflem. Pewnie, niektórych Foltest albo raczej zdemaskowali prędko, paru nawet powiesili na ostrokole, ale za mało, za mało. Ja bym ich wszystkie powiesił. Tego, że strzyga w tym czasie zagryzała co rusz kogoś innego, nie zwracając na oszustów ich zaklęcia żadnej uwagi, dodawać chyba nie muszę. Ani tego, że Foltest nie mieszkał już w pałacu. Nikt już tam nie mieszkał.

Velerad przerwał, popił piwa. Wiedźmin milczał.

— I tak to się ciągnie, Geralt, sześć lat, bo to się urodziło tak jakoś czternaście lat temu. Mieliśmy w tym czasie trochę innych zmartwień, bo pobiliśmy się z Vizimirem z Novigradu, ale nie o porządnym, zrozumiałym powodzie, poszło nam o przesuwanie słupów granicznych, a nie tam o jakieś córki czy koligacje. Foltest, nawiasem mówiąc, zaczyna już przebąkiwać o małżeństwie i ogląda przesyłane przez sąsiednie dwory konterfekty, które dawniej zwykł był wrzucać do wychodków. No, ale co jakiś czas opada go znowu ta mania i rozsyła konnych, by szukali nowych czarowników. Nigdy i nagrodę obiecał, trzy tysiące, przez co zbiegło się trochę postrzeleńców, błędnych rycerzy, nawet jeden pastuszek, kretyn znany w całej okolicy, niech spoczywa w pokoju. A strzyga ma się dobrze. Tyle że co jakiś czas kogoś zagryzie. Można się przyzwyczaić. A z tych bohaterów, co ją próbują odczarowywać, jest chociaż taki pożytek, że bestia nażera się na miejscu i nie szwenda po dworzyszczem. A Foltest ma nowy pałac, całkiem ładny.

— Przez sześć lat — Geralt uniósł głowę — przez sześć lat nikt nie załatwił sprawy?

— Ano nie — Velerad popatrzył na wiedźmina przenikliwie. - Bo pewnie sprawa jest nie o załatwienie i przyjdzie się z tym pogodzić. Mówię o Folteście, naszym miłościwym i ukochanym władcy, który ciągle jeszcze przybija te orędzia na rozstajnych drogach. Tyle że chętnych zrobiło się jakby mniej. Ostatnio, co prawda, był jeden, ale chciał te trzy tysiące koniecznie z góry. No i wsadziliśmy go do worka i wrzuciliśmy do jeziora.

— Oszustów nie brakuje.

— Nie, nie brakuje. Jest ich nawet sporo — przytaknął grododzierzco, nie spuszczać wiedźmina wzroku. -Dlatego jak pójdziesz do pałacu, nie żądaj złota z góry. Jeżeli tam w ogóle pójdziesz.

— Pójdę.

— Ano, twoja sprawa. Pamiętaj jednak o mojej radzie. Jeżeli zaś już o nagrodzie mowa, ostatnio zaczęło się mówić o jej drugiej części, wspomniałem ci. Królowa za żonę. Nie wiem, kto to wymyślił, ale jeżeli strzyga wygląda tak, jak opowiadają, to żart jest wyjątkowo ponury. Wszelako nie zabrakło durniów, którzy pognali do dworzyszczu galopem, jak tylko wieść gruchnęła, że je okazja wejść do królewskiej rodziny. Konkretnie, dwóch czeladników szewskich. Dlaczego szewcy są tacy głupi, Geralt?

— Nie wiem. A wiedźmini, grododzierzco? Próbowali?

— Było kilku, a jakże. Najczęściej, kiedy usłyszeli, że strzygę trzeba odczarować, a nie zabić, wzruszali ramionami i odjeżdżali. Dlatego też znacznie wzrósł mój szacunek dla wiedźminów, Geralt. No a potem przyjechał jeden, młodszy był od ciebie, imienia nie pamiętam, o ile je w ogóle podał. To

spróbował.

— No i?

— Zębata królowna rozwłóczyła jego flaki na sporej odległości. Z pół strzelenia z łuku. Geralt pokiwał głową.

— To wszyscy?

— Był jeszcze jeden.

Velerad milczał przez chwilę. Wiedźmin nie ponaglał go.

— Tak — rzekł wreszcie grododzierzca. - Był jeszcze jeden. Z początku, gdy mu Foltest zagroził szubienicą, jeżeli zabije lub okaleczy strzygę, roześmiał się tylko i zaczął się pakować. No, a potem...

Velerad ponownie ściszył głos prawie do szeptu, nachylając się przez stół.

— Potem podjął się zadania. Widzisz, Geralt, jest tu w Wyzimie paru rozumnych ludzi, nawet na wysokich stanowiskach, którym cała ta sprawa obrzydła. Plotka głosi że ci ludzie przekonali po cichu wiedźmina, aby nie bał się w żadne ceregiele ani czary, zatłukł strzygę, królowi powiedział, że czar nie podziałał, że córeczka spadła ze schodów, no że zdarzył się wypadek przy pracy. Król wiadomo, rozzłościł się, ale skończył się na tym, że nie zapłacił ani orena nagrody. Szelma wiedźmin mówi to, że za darmo sami sobie możemy chodzić na strzygi. No, co było robić... Złożyliśmy się i potargowaliśmy... Tylko że nic i tego nie wyszło.

Geralt podniósł brwi.

— Nic, powiadam — rzekł Velerad. - Wiedźmin nie chciał iść od razu, pierwszej nocy. Łaził, czaił się, kręcił po okolicy. Wreszcie, jak powiadają, zobaczył strzygę, zapewne w akcji, bo bestia nie wyłazi z krypty tylko po to, żeby rozprostować nogi. Zobaczył ją więc i tej samej nocy zwiął. Był pożegnania.

Geralt wykrzywił lekko wargi w czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem.

— Rozumni ludzie — zaczął — zapewne mają jeszcze te pieniądze? Wiedźmini nie biorą z górą.

— Ano — rzekł Velerad — pewnie mają.

— Plotka nie mówi, ile tego jest? Velerad wyszczerzył zęby.

— Jedni mówią: osiemset... Geralt pokręcił głową.

— Inni — mruknął grododzierzca — mówią o tysiącu.

— Niedużo, jeśli wziąć pod uwagę, że plotka wszystko wyolbrzymia. W końcu król daje trzy tysiące.

— Nie zapominaj o narzeczonej — zadrwił Velerad. - O czym my rozmawiamy? Wiadomo, że nie dostaniesz tamtych trzech tysięcy.

— Skąd to niby wiadomo? Velerad huknął dłonią o blat stołu.

— Geralt, nie psuj mojego wyobrażenia o wiedźminach! To już trwa sześć lat z hakiem! Strzygę wykańcza do pół setki ludzi rocznie, teraz mniej, bo wszyscy trzymają się z daleka od pałacu. Nie bracie, ja wierzę w czary, niejedno widziałem i wierzę, do pewnego stopnia, rzecz jasna, w zdolności magów i wiedźminów. Ale z tym odczarowywaniem to bzdura, wymyślona przez garbatego usmarkanego dziada, który zgłupiał od pustelniczego wikt, bzdura, w którą nie wierzy nikt. Prócz Foltesta. Nie, Geralt! Adda urodziła strzygę, bo spała z własnym bratem, taka jest prawda i żaden czar tu nie pomoże. Strzyga żre ludzi, jak to strzyga, i trzeba ją zabić, normalnie i po prostu. Słuchaj, dwa lata temu kmiotkowie z jakiegoś zapadłego zadupia pod Mahakamem, którym smok wyżerał owce, poszli kupą, zatłukli go kłonicami i nawet nie uznali za celowe się tym szczególnie chwalić. A my tu w Wyzimie, czekamy na cud i ryglujemy drzwi przy każdej pełni księżyca albo wiążemy przestępców do palika przed dworzyszczem licząc, że bestia nażre się i wróci do trumny.

— Niezły sposób — uśmiechnął się wiedźmin. - Przystępczość zmaląa?

— Ani trochę.

— Do pałacu, tego nowego, którądy?

— Naprowadzę cię osobiście. Co będzie z propozycją rzuconą przez rozumnych ludzi?

— Grodzierzco — rzekł Geralt. - Po co się spieszyć? Przecież naprawdę może zdarzyć się

wypadek przy pracy, niezależnie od moich intencji. Wtedy rozumni ludzie winni pomyśleć, jak ocalić mnie przed gniewem króla i przygotować te tysiąc pięćset orenów, o których mówi plotka.

— Miało być tysiąc.

— Nie, panie Velerad — powiedział wiedźmin stanowczo. - Ten, któremu dawaliście tysiąc orenów, uciekł na sam widok strzygi, nawet się nie targował. To znaczy, ryzyko jest większe niż tysiąc. Czemu nie jest większe niż półtora tysiąca, okaże się. Oczywiście, ja się przedtem pożegnam.

Velerad podrapał się w głowę.

— Geralt? Tysiąc dwieście?

— Nie, grodzierzco. To nie jest łatwa robota. Król daje trzy, a muszę wam powiedzieć, że odczarować jest czasem łatwiej niż zabić. W końcu któryś z moich poprzedników zabiłby strzygę, gdyby to było takie proste. Myślicie, że dali się zagryźć tylko dlatego, że bali się króla?

— Dobra, bracie — Velerad smętnie pokiwał głową. Umowa stoi. Tylko przed królem ani mrugnij mru o możliwości wypadku przy pracy. Szczerze ci radzę.

Foltest był szczupły, miał ładną — za ładną — twarz, Nie miał jeszcze czterdziestki, jak oceniał wiedźmin. Siedział na karle rzeźbionym z czarnego drewna, nogi wyciągnął w stronę paleniska, przy którym grzały się dwa psy. Obok, na skrzyni siedział starszy, potężnie zbudowany mężczyzna z brodą. Za królem stał drugi, bogato odziany, z dumnym wyrazem twarzy. Wielmoża.

— Wiedźmin z Rivii — powiedział król po chwili jaka zapadła po wstępnej przemowie Velerada.

— Tak, panie — Geralt schylił głowę.

— Od czego ci tak łeb posiwiiał? Od czarów? Widzę, że. niestary. Dobrze już, dobrze. To żart, nie mów. Doświadczenie, jak śmiem przypuszczać, masz niejaki?

— Tak, panie.

— Radbym posłuchać.

Geralt skłonił się jeszcze niżej.

— Wiecie wszak, panie, że nasz kodeks zabrania mówienia o tym, co robimy.

— Wygodny kodeks, mości wiedźminie, wielce wygodny. Ale tak, bez szczegółów, z borowikami miałeś do czynienia?

— Tak.

— Z wampirami, z leszymi?

— Też.

Foltest zawahał się.

— Ze strzygami?

Geralt uniósł głowę, spojrzał królowi w oczy.

— Też.

Foltest odwrócił wzrok.

— Velerad!

— Słucham, miłościwy panie.

— Wprowadziłeś go w szczegóły?

— Tak, miłościwy panie. Twierdzi, że królowną można odczarować.

— To wiem od dawna. W jaki sposób, mości wiedźminie? Ach, prawda, zapomniałem. Kodeks. Dobrze. Tylko jedna mała uwaga. Było tu już u mnie kilku wiedźminów. Velerad, mówiłeś mi. Dobrze. Stąd wiem, że waszą specjalnością jest raczej zabijanie, a nie odczynianie uroków. "o nie wchodzi w rachubę. Jeżeli mojej córce spadnie włos z głowy, ty swoją położysz na pieńku. To tylko Ostrit, i wy, panie Segelin, zostańcie, udzielcie mu tyle informacji, ile będzie chciał. Oni zawsze dużo pytają, wiedźmini. Nakarmcie go i niech mieszka w pałacu. Niech się de włóczy po karczmach.

— Król wstał, gwizdnął na psy i ruszył ku drzwiom, rozrzucając słomę pokrywającą podłogę komnaty. Przy drzwiach odwrócił się.

— Uda ci się, wiedźminie, nagroda jest twoja. Może jeszcze coś dorzucę, jeśli dobrze się spiszesz. Oczywiście, bajania pospólstwa co do ożenku z królowną nie zawiera słowa prawdy. Nie sądzisz chyba, że wydam córkę za byle przybłądę?

— Nie, panie. Nie sądzę.

— Dobrze. To dowodzi, że jesteś rozumny. Foltest wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Velerad wielmoża, którzy dotychczas stali, natychmiast rozsiedli się przy stole. Grodzierzca dopił połowie pełny puchar króla, zajrzał do dzbana, zaklął. Ostrit, który zajął fotel Foltesta, patrzył na wiedźmina spode łba, gładząc dłońmi rzeźbione poręcze. Segelin, brodacz, skinął na Geralta.

— Siadajcie, moiście wiedźminie, siadajcie. Zaraz wieczerzę podadzą. O czym chcielibyście rozmawiać? Grododzierzca Velerad powiedział wam już chyba wszystko. Pnam go i wiem, że powiedział prędzej za dużo niż za mało.

— Tylko kilka pytań.

— Zadajcie je.

— Mówił grododzierzca, że po pojawieniu się strzygi król wezwał wielu Wiedzących.

— Tak było. Ale nie mówcie: «strzyga», mówcie: "królowna". Łatwiej unikniecie takiej pomyłki przy królu... i związanych z tym przykrości.

— Czy wśród Wiedzących był ktoś znany? Sławny?

— Byli tacy i wówczas, i później. Nie pamiętam imion. A wy, panie Ostrit?

— Nie pamiętam — rzekł wielmoża. - Ale wiem, że nie| którzy cieszyli się sławą i uznaniem. Mówiło się o tym dużo.

— Czy byli zgodni co do tego, że zaklęcie można zdjąć

— Byli dalecy od zgody — uśmiechnął się Segelin. - M każdym przedmiocie. Ale tak stwierdzenie padło. Miał to być proste, wręcz nie wymagające zdolności magicznych, i ja zrozumiałem, wystarczyło, aby ktoś spędził noc, od zachodu słońca do trzecich kurów, w podziemi przy sarkofagu.

— Rzeczywiście, proste — parsknął Velerad.

— Chciałbym usłyszeć opis... królowny. Velerad zerwał się z krzesła.

— Królowna wygląda jak strzyga! — wrzasnął. - Jak najbardziej strzygowata strzyga, o jakiej słyszałem! Jej wysokość królewska córka, przeklęty nadbękart, ma cztery łokcie wzrostu, przypomina baryłę piwa, ma mordę o ucha do ucha, pełną zębów jak sztylety, czerwone ślepia rude kudły! Łapski opazurzone jak u żbika, wiszą jej d samej ziemi! Dziwię się, że jeszcze nie zaczęliśmy rozsyłać jej miniatur po zaprzyjaźnionych dworach! Królowna niech ją zaraza udusi, ma już czternaście lat, czł pomyśleć o wydaniu jej za jakiegoś królewicza!

— Pohamuj się, grododzierzco — zmarszczył się Ostrit zerkając w stronę drzwi. Segelin uśmiechnął się lekko.

— Opis, choć tak obrazowy, był w miarę dokładny, a (to chodziło moiście wiedźminowi, prawda) Velerad zapomniał dodać, że królowna porusza się z niewiarygodną prędkością i jest o wiele silniejsza, niż można wnosić z jej wzrostu i budowy. A to, że ma czternaście lat, jest faktem. O ile to ważne.

— Ważne — powiedział wiedźmin. - Czy ataki na lud zdarzają się tylko podczas pełni?

— Tak — odrzekł Segelin. - Jeżeli napada poza starym pałacem. W pałacu, niezależnie od fazy księżycy, ludzi ginęli zawsze. Ale wychodzi tylko podczas pełni, a i to nie każdej.

— Czy był chociaż jeden wypadek ataku za dnia?

— Nie. Za dnia nie.

— Zawsze pożera ofiary?

Velerad splunął zamasyście na słomę.

— Niech cię, Geralt, zaraz wieczerza będzie. Tfu! Pożera nadgryza, zostawia, różnie, zależnie o humoru zapewne. Jednemu tylko głowę odgryzła, paru wybebeszyła, i paru ogryzła na czysto, do goł można by rzec. Taka jej mać!

— Uważaj, Velerad — syknął Ostrit. - O strzydze gadaj, co chcesz, ale Addy nie obrażaj przede mną, bo przy królu się nie odważasz!

— Czy był ktoś, kogo zaatakowała, a przeżył? - spytał wiedźmin, pozornie nie zwracając uwagi na wybuch wielmoży.

Segelin i Ostrit spojrzeli po sobie.

~~— Tak — powiedział brodac. - Na samym początku, sześć lat temu, rzuciła się na dwóch żołnierzy stojących warcie u krypty. Jednemu udało się uciec.~~

~~— I później — wtrącił Velerad — młynarz, na którego napadła pod miastem. Pamiętacie?~~

Młynarza przyprowadzono na drugi dzień, późnym wieczorem, do komnatki nad kordegardą, której zakwaterowano wiedźmina. Przyprowadził go żołnierz w płaszczu z kapturem.

Rozmowa nie dała większych rezultatów. Młynarz był przerażony, bełkotał, jękał się. Więc powiedziały wiedź-z — aminowi jego blizny: strzyga miała imponujący rozstaw szczęk i rzeczywiście ostre zęby, w tym bardzo długie górne kły — cztery, po dwa z każdej strony. Pazury zapewne ostrzejsze od żbiczych, choć mniej zakrzywione. Tylko dlatego zresztą udało się młynarzowi wyrwać

Zakończywszy oględziny, Geralt skinął na młynarza i żołnierza, odprawiając ich. Żołnierz wypchnął chłopca za drzwi i zdjął kaptur. Był to Foltest we własnej osobie.

— Siadaj, nie wstawaj — rzekł król. - Wizyta nieoficjalna. Zadowolony z wywiadu? Słyszałeś że byłeś w dworzyszczu przed południem.

— Tak, panie.

— Kiedy przystąpisz do dzieła?

— Do pełni cztery dni. Po pełni.

— Wolisz sam się jej wcześniej przyjrzeć?

— Nie ma takiej potrzeby. Ale najedzona... królowna... będzie mniej ruchliwa.

— Strzyga, mistrzu, strzyga. Nie bawmy się w dyplomację. Królowną to ona dopiero będzie. Tym zresztą przyszedłem z tobą porozmawiać. Odpowiadaj, nieoficjalnie, krótko i jasno: będzie czy nie będzie? Nie zasłaniaj mi się tylko żadnym kodeksem.

Geralt potarł czoło.

— Potwierdzam, królu, że czar można odczytać. I jeżeli się nie mylę, to rzeczywiście spędzają noc w dworzyszczu. Trzecie pianie koguta, o ile zaskoczy strzygę poza sarkofagiem, zlikwiduje urodziny. Tak zwykle postępuje się ze strzygami.

— Takie proste?

— To nie jest proste. Trzeba tę noc przeżyć, to raz. Możliwe są też odstępstwa od normy. Na przykład nie jedni noc, ale trzy. Kolejne. Są też przypadki... no... beznadziejne — Tak — zachnął się Foltest. - Ciągłe to słyszę od nie których. Zabić potwora, bo to wypadek nieuleczalny. Mistrz jestem pewien, że już z tobą rozmawiano. Co? Żeby zarąbać ludojadkę bez ceregieli, na samych wstępie, i królowi powiedzieć, że inaczej się nie dało. Król nie zapłaci, my zapłacimy. Bardzo wygodny sposób. I tani. Bo król każe ściąć lub powiesić wiedźmina, a złoto zostanie w kieszeni.

— Król bezwarunkowo każe ściąć wiedźmina? — wykrzywił się Geralt.

Foltest przez dłuższą chwilę patrzył w oczy Riva.

— Król nie wie — powiedział wreszcie. - Ale liczyć się taką ewentualnością wiedźmin raczej powinien.

Teraz Geralt chwilę pomilczał.

— Zamierzam zrobić, co w mojej mocy — rzekł po chwili. - Ale gdyby poszło źle, będę bronił swojego życia. Wy, panie, też się. musicie liczyć z taką ewentualnością. Foltest wstał.

— Nie rozumiesz mnie. Nie o to chodzi. To jasne, że zabijesz ją, gdy się zrobi gorąco, czy mi się to podoba, czy nie. Bo inaczej ona ciebie zabije, na pewno i nieodwołalnie. Nie rozgłaszam tego, a nie ukarałbym nikogo, kto zabiłby ją w obronie własnej. Ale nie dopuszczę, aby zabito ją, nie próbując uratować. Były już próby podpalenia starego pałacu, strzelali do niej z łuków, kopali doły, zastawiali sidła i wnyki dopóty, dopóki kilku nie powiesiłem. Ale nie o to chodzi. Mistrzu, słuchaj!

— Słucham.

— Po tych trzech kurach nie będzie strzygi, jeśli dobrze zrozumiałem. A co będzie?

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, czternastolatka.

— Czerwonooka? Z zębami jak krokodyl?

— Normalna czternastolatka. Tyle że...

— No?

— Fizycznie.

— Masz babo placek. A psychicznie? Codziennie na śniadanie wiadro krwi? Udko dziewczęcia?

— Nie. Psychicznie... Nie sposób powiedzieć... Sądzę, że na poziomie, bo ja wiem, trzyletnieg

czteroletniego dziecka. Będzie wymagała troskliwej opieki przez dłuższy czas.

— To jasne. Mistrzu?

— Słucham.

— Czy to jej może wrócić? Później? Wiedźmin milczał.

— Aha — rzekł król. - Może. I co wtedy?

— Gdyby po długim, kilkudniowym omdleniu zmarła, trzeba spalić ciało. I to prędko. Foltest zasępił się.

— Nie sądzą jednak — dodał Geralt — aby do tego doszło. Dla pewności udzielię wam, panie, kilku wskazówek, jak zmniejszyć niebezpieczeństwo.

— Już teraz? Nie za wcześnie, mistrzu? A jeżeli...

— Już teraz — przerwał Riv. - Różnie bywa, królu. Może się zdarzyć, że rano znajdziecie krypcie odczarowani królową i mojego trupa.

— Aż tak? Pomimo mojego zezwolenia na obronę własną? Na którym, zdaje mi się, nie bardzo nawet zależało.

— To jest poważna sprawa, królu. Ryzyko jest wielkie. Dlatego słuchajcie: królowa stała mu nosić na szyi szafir, najlepiej inkluz, na srebrnym łańcuszku. Stale. dzień i w nocy.

— Co to jest inkluz?

— Szafir z pęcherzykiem powietrza wewnątrz kamienia. Oprócz tego, w komnacie, w której będzie sypiała, należy co jakiś czas palić w kominku gałązki jałowca, żarnowca i leszczyny.

Foltest zamyślił się.

— Dziękuję ci za rady, mistrzu. Zastosuję się do nich, jeżeli... A teraz ty posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli stwierdzisz, że to przypadek beznadziejny, zabijesz ją. Jeżeli od-czynisz urok, dziewczyna nie będzie... normalna... jeżeli będziesz miał cień wątpliwości, czy ci się udało w pełni, zabijesz ją również. Nie obawiaj się, nic ci nie grozi z mojej strony. Będę na ciebie krzychał przed ludziami, wypędzę z pałacu i z miasta, nic więcej. Nagrody oczywiście nie' dam. Może ci wytargujesz, wiesz od kogo.

Milczeli chwilę.

— Geralt — Foltest po raz pierwszy zwrócił się do wiedźmina po imieniu.

— Słucham.

— Ile jest prawdy w gadaniu, że dziecko było takie, a nie inne, bo Adda była moją siostrą?

— Niewiele. Czar trzeba rzucić, żadne zaklęcie nie rzuca się samo. Ale myślę, że wasz związek z siostrą był przyczyną rzucenia czaru, a więc i takiego skutku.

— Tak myślałem. Tak mówili niektórzy z Wiedzących, chociaż nie wszyscy. Geralt? Skąd się biorą takie sprawy? Czary, magia?

— Nie wiem, królu. Wiedzący zajmują się badaniem przyczyn tych zjawisk. Dla nas wiedźminów, wystarczy wiedza, że skupiona wola może takie zjawiska powodować. I wiedza, jak zwalczać.

— Zabijać?

— Najczęściej. Za to nam zresztą najczęściej płacą. Mało kto żąda odczynienia uroków, królu. reguły ludzie chcą się po prostu uchronić od zagrożenia. Jeżeli zaś potwór ma ludzi na sumieniu, dochodzi jeszcze motyw zemsty.

Król wstał, zrobił kilka kroków po komnacie, zatrzymał się przed mieczem wiedźmina wiszący na ścianie.

— Tym? — spytał, nie patrząc na Geralt.

— Nie. Ten jest na ludzi.

— Słyszałem. Wiesz co, Geralt? Pójdę z tobą do krypty.

— Wykluczone.

Foltest odwrócił się, oczy mu zabłyśły.

— Czy ty wiesz, czarowniku, że ja jej nie widziałem? Ani po urodzeniu, ani... potem. Bałem się. Mogę jej już nigdy nie zobaczyć, prawda? Mam prawo chociaż widzieć, jak ją będziesz mordował.

— Powtarzam, wykluczone. To pewna śmierć. Również dla mnie. Jeżeli osłabię uwagę, wolę. Nie, królu.

Foltest odwrócił się, ruszył ku drzwiom. Geraltowi przez chwilę zdawało się, że wyjdzie bez słowa, bez pożegnalnego gestu, ale król zatrzymał się, spojrzał na niego.

— Budzisz zaufanie — powiedział. - Pomimo że wiem, jakie z ciebie ziółko. Opowiadano mi, że zaszło w karczmie. Jestem pewien, że zabiłeś tych opryszków wyłącznie dla rozgłosu, żeby wstrząsnąć ludźmi, mną. Jest dla mnie oczywiste, że mogłeś ich pokonać bez zabijania. Boję się, że nigdy się nie dowiem, czy idziesz ratować moją córkę, czy też ją zabić. Ale godzę się na to. Muszę się zgodzić. Wiesz, dlaczego?

Geralt nie odpowiedział.

— Bo myślę — rzekł król — myślę, że ona cierpi. Prawda?

Wiedźmin utkwiał w królu swoje przenikliwe oczy. Nie przytaknął, nie skinął głową, nie uczynił najmniejszego gestu, ale Foltest wiedział. Znał odpowiedź.

Geralt po raz ostatni wyjrzał przez okno dworzyszczca. Zmierzch zapadał szybko. Za jezioro migotały niejasni światełka Wyzimy. Dookoła dworzyszczca było pustkowienie — pas ziemi niczyjej, którym miasto w ciągu sześciu lat odgrodziło się od niebezpiecznego miejsca, nie zostawiając nic oprócz kilku ruin, przegniłych belkowań i resztek szczerbatego ostrokołu, których widać nie opłacało się rozbierać i przenosić. Najdalej, bo na zupełnie przeciwległy kraniec osiedla, przeniósł swoją rezydencję sam król — pękaty stołb jego nowego pałacu czernił się w dali na tle granatowiejącego nieba.

Wiedźmin wrócił do zakurzonego stołu, przy którym jednej z pustych, splądrowanych komnat przygotowywał się niespiesznie, spokojnie, pieczołowicie. Czasu, jak wiedział, miał dużo. Strzyga nie opuści krypty przed północą.

Przed sobą na stole miał niedużą, okutą skrzyneczkę. Otworzył ją. Wewnątrz, ciasno, wyłożonych suchą trawą przegródkach, stały flakoniki z ciemnego szkła. Wiedźmin wyjął trzy.

Z podłogi podjął podłużny pakunek, grubo owinięty owczymi skórąmi i okręcony rzemieniem. Rozwinął go i wydobyl miecz z ozdobną rękojeścią, w czarnej, lśniącej pochwie pokrytej rzedającymi runicznymi znakami i symbolami. Obnażył ostrze, które rozblýsło czystym, lustrzanym blaskiem. Klinga była z czystego srebra.

Geralt wyszeptał formułę, wypil po kolei zawartość dwu flakoników, po każdym łuku kładł lewą dłoń na głowni miecza. Potem, owijając się szczelnie w swój czarny płaszcz, usiadł na podłodze. W komnacie nie było żadnego krzesła. Jak zresztą w całym dworzyszczcu.

Siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Jego oddech, początkowo równy, stał się nagle przyspieszony i chrapliwy, niespokojny. A potem ustał zupełnie. Mieszanka, za pomocą której wiedźmin poddał pełnej kontroli, pracę wszystkich organów ciała, składała się głównie z ciemnyca bieluniu, głogu i wilczomleca. Inne jej składniki nie posiadały nazw w żadnym ludzkim języku. Dla człowieka, który nie był, tak jak Geralt, przyzwyczajony do niej od dziecka, byłaby to śmiertelnie trucizna.

Wiedźmin gwałtownie odwrócił głowę. Jego słuch, wyostrzony obecnie ponad wszelką miarę, łatwością wyłowil z ciszy szelest kroków na zarośniętym pokrzywami dziedzińcu. To nie mogła być strzyga. Było za jasno. Geralt zarzucił miecz na plecy, ukrył swój tobołek w palenisku zrujnowanego kominka i cicho jak nietoperz zbiegł po schodach.

Na dziedzińcu było jeszcze na tyle jasno, by nadchodzący człowiek mógł zobaczyć twarz wiedźmina. Człowiek — był to Ostrit — cofnął się gwałtownie, mimowolny grymas przerażenia i wstrętu wykrzywił mu usta. Wiedźmin uśmiechnął się krzywo — wiedział, jak wygląda. Po wypiciu mieszanki pokrzyku, tojadu i świetlika twarz nabiera koloru kredy, a źrenice zajmują całe tęczówki. Ale mikstura pozwala widzieć w najgłębszych ciemnościach, a o to Geraltowi chodziło.

Ostrit opanował się szybko.

— Wyglądasz, jakbyś już był trupem, czarowniku — powiedział. - Pewnie ze strachu. Nie bój się. Przynoszę ci ułaskawienie.

Wiedźmin nie odpowiedział.

— Nie słyszysz, co powiedziałem, rivski znachorze? Jesteś uratowany. I bogaty — Ostrit zwał, w rękę sporą sakwę i rzucił ją pod nogi Geralta. - Tysiąc orenów. Bierz to, wsiadaj na konia i wyjdź się stąd!

Riv wciąż milczał.

— Nie wytrzeszczaj na mnie oczu! — Ostrit podniósł głos. - I nie marnuj mojego czasu. Nie mam zamiaru stać tutaj do północy. Czy nie rozumiesz? Nie życzę sobie, abyś odczyniał uroki. Nie nie myśl, że odgadłeś. Nie trzymam z Veleradem i Segelinem. Nie chcę, byś ją zabijał. Masz się prostu wynosić. Wszystko ma zostać po staremu.

Wiedźmin nie poruszył się. Nie chciał, aby wielmoża zorientował się, jak przyspieszone są w chwili jego ruchy i reakcje. Ciemniało szybko, było to o tyle korzystne, że nawet półmrok zmierzchny był zbyt jaskrawy dla jego rozszerzonych źrenic.

— A dlaczego to, panie, wszystko ma zostać po staremu? — spytał, starając się wolno wypowiadać poszczególne słowa.

— A to — Ostrit dumnie podniósł głowę — powinno cię diabelnie mało obchodzić.

— A jeżeli już wiem?

— Ciekawe.

- Łatwiej będzie usunąć Foltesta z tronu, jeżeli strzyga dokuczy ludziom jeszcze bardziej? Jeżeli królewskie szaleństwo do cna obrzydnie i wielmożom, i pospólstwu, prawda? Jechałem do was przez Redanię, przez Novigrad. Wiele się tam mówi o tym, że niektórzy w Wyzimie wyglądają króla Vizimira jako wybawiciela i prawdziwego monarchę. Ale mnie, panie Ostrit, nie obchodzi ani polityka, ani sukcesje tronów, ani przewroty pałacowe. Ja jestem tu, aby wykonać pracę. Nie słyszeliście nigdy o poczuciu obowiązku i zwykłej uczciwości? O etyce zawodowej?

— Uważaj, do kogo mówisz, włóczęgo! — krzyknął wściekle Ostrit, kładąc dłoń na rękojeści miecza. - Dość już mam tego, nie przywykłem dyskutować z byle kim! Patrzcie go, etyka, kodeks moralność?! Kto to mówi? Zbój, który ledwo przybył, pomordował ludzi? Który giął się przed Foltestem w ukłonach, a za jego plecami targował się z Veleradem jak najemny zbir? I ty ośmielasz się zadzierać głowę, pachołku? Udawać Wiedzącego? Maga? Czarodzieja? Ty parszywy wiedźmini! Precz stąd, zanim płazem przez pysk przejadę!

Wiedźmin nawet nie drgnął, stał spokojnie.

— To wy stąd idźcie, panie Ostrit — powiedział. - Ściemnia się.

Ostrit cofnął się o krok, błyskawicznie dobył miecza.

— Sam tego chciałeś, czarowniku. Zabiję cię. Nic ci nie pomogą twoje sztuczki. Mam przy sobie żółwi kamień.

Geralt uśmiechnął się. Opinia o mocy żółwego kamienia była równie powszechna, jak błędna. Ale wiedźmin nie myślał tracić sił na zaklęcia, ani tym bardziej narażać srebrnej klingi na zetknięcie się z brzeszczotem Ostrita. Znurkował pod młynkującym ostrzem i nasadą pięści, srebrnymi ćwiekami i mankietu uderzył wielmożę w skroń.

Ostrit oprzytomniał rychło, wodził wkoło oczami w zupełnej ciemności. Spostrzegł, że jest związany. Geralt, który stał tuż obok, nie widział. Ale zorientował się, gdzie jest, i zawył, przeciągłym, przeraźliwie.

— Milcz — rzekł wiedźmin. - Bo przyciągniesz ją przed czasem.

— Ty przeklęty morderco! Gdzie jesteś? Rozwiąż mnie natychmiast, łajdaku! Będziesz za to wisiął, suczy synu!

— Milcz.

Ostrit dyszał ciężko.

— Zostawisz mnie jej na pożarcie! Związanego? — spytał już ciszej, dorzucając plugawy wyzwisko prawie szeptem.

— Nie — rzekł wiedźmin. - Wypuszczę cię. Ale nie teraz.

— Ty łotrze — zasyczał Ostrit. - Żeby odciągnąć strzygę?

— Tak.

Ostrit zamilkł, przestał się miotać, leżał spokojnie.

— Wiedźminie?

— Tak.

— To prawda, że chciałem obalić Foltesta. Nie ja jeden. Ale ja jeden pragnąłem jego śmierci. Chciałem, by umarł w mękach, by oszalał, by żywcem zgnił. Wiesz, dlaczego?

Geralt milczał.

— Kochałem Addę. Królewską siostrę. Królewską kochankę. Królewską dziewczkę. Kochałem ją. Wiedźminie, jesteś tu?

— Jestem.

— Wiem, co myślisz. Ale tak nie było. Uwierz mi, nie rzucałem żadnych uroków. Nie znam się na żadnych czarach. Tylko raz w złości powiedziałem... Tylko raz. Wiedźminie? Słuchasz?

— Słucham.

— To jego matka, stara królowa. To na pewno ona. Nie mogła patrzeć, że on i Adda... To nie ja. Ja tylko raz, wiesz, próbowałem perswadować, a Adda... Wiedźminie! Zamroczyło mnie. powiedziałem... Wiedźminie? To ja? Ja?

— To już nie ma znaczenia.

— Wiedźminie? Północ blisko?

— Blisko.

— Wypuść mnie wcześniej. Daj mi więcej czasu.

— Nie.

Ostrit nie usłyszał zgrzytu odsuwanej płyty grobowca ale wiedźmin tak. Pochylił się i rozciął sztyletem więź wielmoży. Ostrit nie czekał na żadne słowa, zerwał się niezgrabnie pokuśtyk zdrętwiały, pobiegł. Jego wzroś na tyle już przyzwyczał się do ciemności, że widział drogę prowadzącą z głównej sali do wyjścia.

Z hukiem wyskoczyła z podłogi płyta blokująca wejście do krypty. Geralt, przezornie ukryty za balustradą schodów, dostrzegł pokraczną postać strzygi, pędzącą zwinnie, szybko i nieomylnie w stronę za oddalającym się tupotem butów Ostrita. Strzyga nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Potworny, rozedrgany, opętańczy wrzask rozdarł noc, wstrząsnął starymi murami i trwał wznosząc się i opadając, wibrując. Wiedźmin nie mógł dokładnie ocenić odległości — jego

wyczulony słuch mylił — ale wiedział, że strzyga dopadła Ostrita szybko. Za szybko.

~~Wyszedł na środek sali, stanął tuż przy wejściu do krypty. Odrzucił płaszcz. Poruszył barkami poprawiając ułożenie miecza. Naciągnął rękawice. Miał jeszcze chwilę czasu. Wiedział, że strzyga choć najedzona po ostatniej pełni, nie porzuci prędko trupa Ostrita. Serce i wątroba były dla niego cennym zapasem pożywienia na długie trwanie w letargu.~~

Wiedźmin czekał. Do jutrzeńki, jak obliczał, pozostawało jeszcze około trzech godzin. Pianoguta mogłoby go tylko zmylić. W okolicy nie było zresztą prawdopodobnie żadnych kogutów.

Usłyszał. Szła powoli, człapiąc po posadzce. A potem zobaczył ją.

Opis był dokładny. Nieproporcjonalnie duża głowa osadzona na krótkiej szyi okolona była splątaną, wijącą się aureolą czerwonych włosów. Oczy świeciły w mroku jak dwa karbunkuli. Strzyga stała nieruchomo, wpatrzona w Geralta. Nagle otworzyła, paszczę — jak gdyby chwając się szeregiem białych, spiczastych zębisk, po czym kłapnęła zuchwą z trzaskiem przypominającym zamykanie skrzyni. I od razu skoczyła, z miejsca, bez rozbiegu, godząc w wiedźmina okrwawionymi pazurami.

Geralt odskoczył w bok, zawirował w błyskawicznym piiruecie, strzyga otarła się o niego, tuż zawirowała, tnąc powietrze szponami. Nie straciła równowagi, zaatakowała ponownie, natychmiast, półobrotu, kłapiąc zębami tuż przed piersią Geralta. Riv odskoczył w drugą stronę, trzykrotnie zmieniając kierunek obrotu w Turkoczącym piiruecie, dezorientował strzygę. Odskakując, mocno, choć bez zamachu, uderzył ją w bok głowy srebrnymi kolcami osadzonymi na wierzchniej stronie rękawicy, między knykciach. Strzyga zaryczała potwornie, wypełniając dworzyszczę dudniącym echem, przypadła do ziemi, zamarła i poczęła wyć, głucho, złowrogo, wściekle.

Wiedźmin uśmiechnął się złośliwie. Pierwsza próba, tak jak liczył, wypadła pomyślnie. Srebrny miecz był zabójczy dla strzygi, jak dla większości potworów powołanych do życia przez czary. Istniała więc szansa: bestia była jak inne, a to mogło gwarantować pomyślne odczarowanie, zaś srebrny miecz ostateczność, mógł gwarantować mu życie.

Strzyga nie spieszyła się z następnym atakiem. Tym fazom zbliżała się wolno, szczerząc kły i śliniąc się obrzydliwie. Geralt cofnął się, szedł półkolem, ostrożnie stawiając kroki, zwalniając przyspieszając ruchy dekoncentrował strzygę, utrudnił jej spięcie się do skoku. Idąc wiedźmin rozwijał długi, cienki, mocny łańcuch, obciążony na końcu. Łańcuch był ze srebra.

W momencie gdy strzyga sprężyła się i skoczyła, łańcuch świsnął w powietrzu i zwiłając się ją wąż, w okamgnieniu oplótł ramiona, szyję i głowę potwora. Strzyga waliła się w skoku, wydając przesywający uszy wizg. Miotła się po posadzce, rycząc okropnie, nie wiadomo było, z wściekłości czy z palącego bólu, jaki zadawał jej nienawistny metal. Geralt był zadowolony — zabicie strzygi, gdyby tego chciał, nie przedstawiało w tej chwili wielkiego problemu. Ale wiedźmin nie dobył miecza. Jak do tej pory nic w zachowaniu strzygi nie dawało powodów przypuszczać, że mógłby być przypadek nieuleczalna Geralt cofnął się na odpowiednią odległość i nie spuszcza jąć wzroku kotłującego się na posadzce kształtu, oddychał głęboko, koncentrował się.

Łańcuch pękł, srebrne ogniwa, jak deszcz, sypnęły na wszystkie strony, dzwoniąc po kamieniach. Zaślepi wściekłością strzyga runęła do ataku wyjąć. Geralt czeka spokojnie, uniesioną prawą dłonią kreślił przed sobą Znak Aard.

Strzyga poleciała w tył kilka kroków jak uderzona młotem, ale utrzymała się na nogach, wyciągnęła szpony, obnażyła kły. Jej włosy uniosły się i załopotwały, jak gdyby szła pod gwałtowny wiatr. Z trudem, charcząc, krok po powoli szła. Jednak szła.

Geralt zaniepokoił się. Nie oczekiwał, że tak Znak zupełnie sparaliżuje strzygę, ale i nie spoczął, że bestia pokona opór tak łatwo. Nie mógł trzymać Znaku zbyt długo, było to zbyt wyczerpujące,

strzyga miała już do przebycia nie więcej niż dziesięć kroków, Raptownie zdjął Znak i odskoczył bok. Tak jak oczekiwał, zaskoczona strzyga poleciała naprzód, straciła równowagę, przewróciła się i pośliznęła po posadzce i stoczyła w dół po schodach, w ziejący w podłodze otwór wejścia do krypty. dołu rozległo się jej potępięcze wycie.

Aby zyskać na czasie, Geralt skoczył na schody prowadzące na galerijkę. Nie przebył nawet połowy stopni, gdy strzyga wypadła z krypty, pędząc jak ogromny czarny pająk. Wiedźmin odczekał aż wbiegnie za nim na schody po czym przesadził balustradę, zeskoczył w dół. Strzygi zakręciła się na schodach, odbiła i poleciała na niego w nieprawdopodobnym, ponad dziesięciometrowym skoku. Nie dała się już tak łatwo zwieść jego piruetom — dwu krotnie jej szpony naznaczyły skórzany kaftan Riva. Alf ponowny, rozpaczliwie mocny cios srebrnych kolców rękawicy odrzucił strzygę, zachwiał nią. Geralt, czując wzbierającą w sobie wściekłość, zakołysał się, wygiął tułów do tyłu i potężnym kopniakiem w bok zwalił bestię z nóg.

Ryk, jaki wydała, był głośniejszy od wszystkich poprzednich. Aż tynk posypał się z sufitu.

Strzyga zerwała się, dygocąc z nieopanowanej złości i żądy mordy. Geralt czekał. Już dobył miecza, opisywał nim w powietrzu koła, szedł, okrążał strzygę, bacząc, by uchy miecza były niezgodne z rytmem i tempem jego kroków. Strzyga nie skoczyła, zbliżała się powoli, wodząc oczarowaną za jasną smugą klingi.

Geralt raptownie zatrzymał się, zamarł z uniesionym mieczem. Strzyga, zdetonowana, stanęła również. Wiedźmin opisał ostrzem powolne półkole, zrobił krok w stronę strzygi. Potem jeszcze jeden. A potem skoczył, wywijając młyńca nad głową.

Strzyga skuliła się, zrejterowała zygzakiem, Geralt był znowu blisko, klinga migotała mu przed oczami. Oczy wiedźmina rozpały się złowrogim blaskiem, zza zaciśniętych zębów rwał się chrapliwy ryk. Strzyga znów cofnęła się pchnięta do tyłu mocą skoncentrowanej nienawiści, złości przemożnej emanujących z atakującego ją człowieka, bijących w nią falami, wdzierających się do mózgu i trzewi. przerażona aż do bólu nie znanym jej dotychczas uczuciem wydała z siebie roztrzęsiony, cienki kwik. zakręciła się w miejscu i rzuciła do obłąkańczej ucieczki w mroczną płataninę korytarzy dworzyszcz.

Geralt, wstrząsany dreszczem, stał pośrodku sali. Sam. długo to trwało, pomyślał, zanim taniec na skraju przepaści, ten szaleńczy, makabryczny balet walki doprowadził do oczekiwanego rezultatu, pozwolił mu na osiągnięcie psychicznej jedności z przeciwnikiem, na dobranie się do pokładów skupionej woli, która przepełniała strzygę. Złej, chorobliwej woli, z mocy której strzyga powstała. Wiedźmin zadygotał na wspomnienie momentu, w którym wchłonął w siebie ten ładunek nienawiści i morderczego szału, nawet u bazyliiszków cieszących się pod tym względem najgorszą sławą.

Tym lepiej, myślał, idąc w stronę wejścia do krypty czerniejącego w podłodze jak ogromny kałuża. Tym lepiej, tym mocniejsze uderzenie odebrała sama strzyga. To mu da trochę więcej czasu na dalsze działanie, zanim bestia otrząśnie się z szoku. Wiedźmin wątpił, czy zdobyłby się na jeszcze jeden podobny wysiłek. Działanie eliksirów słabło, a świt był jeszcze daleko. Strzyga nie może dostać się do krypty przed jutrzeńką, inaczej cały dotychczasowy niej trud zda się na nic.

Zszedł po schodach. Krypta była nieduża, mieściła trzy kamienne sarkofagi. Pierwszy od wejścia miał na wpół odsuniętą pokrywę. Geralt wydobył zza pazuchy trzeci flakonik, wypił szybko jej zawartość, wszedł do grobowca, zanurzył się w nim. Tak jak oczekiwał, grobowiec był podwójny — dla matki i córki.

Zasunął pokrywę dopiero wtedy, gdy z góry usłyszą znów ryk strzygi. Położył się na wznak obok zmumifikowanych zwłok Addy, na płycie od wewnątrz nakreślił Znak Yrden. Na piersiach położył

sample content of Ostatnie życzenie

- [The Target \(Will Robie, Book 3\) for free](#)
- [download A Companion to Locke \(Blackwell Companions to Philosophy\) pdf, azw \(kindle\), epub, doc, mobi](#)
- [download Gone \(New California Poetry, Volume 7\) pdf, azw \(kindle\), epub, doc, mobi](#)
- [read online Gluttony: A Dictionary for the Indulgent \(Deadly Dictionaries\) online](#)
- [download The Rough Guide to Australia](#)

- <http://www.celebritychat.in/?ebooks/Early-Modern-European-Society.pdf>
- <http://schroff.de/books/Think-Like-an-Architect--Roger-Fullington-Series-in-Architecture-.pdf>
- <http://monkeybubblemedia.com/lib/Gone--New-California-Poetry--Volume-7-.pdf>
- <http://chelseaprintandpublishing.com/?freebooks/Kerrang---14-May-2016-.pdf>
- <http://nexson.arzamashev.com/library/The-Books-that-Shaped-Art-History--From-Gombrich-and-Greenberg-to-Alpers-and-Krauss.pdf>